

## PIOTR JÓZEFOWICZ

---

Plut. Piotr Józefowicz, 42 lata, starszy asystent PKP, żonaty, dwoje dzieci.

---

Zostałem aresztowany 20 grudnia 1939 r. w Gudogaju [Gudogajach] przez mieszkańca tego miasta, niejakiego Gonczarowa, Rosjanina z pochodzenia, niedokończonego popa, pracownika NKWD, który z zamiłowaniem przeprowadzał aresztowania Polaków pod rozmaitymi pretekstami. Mnie oskarżono jako ochotnika Wojska Polskiego z 1919 r., niechętnego do pracy na kolejach sowieckich, rzekomą partyzantkę i wiele innych przestępstw godzących w ustrój sowiecki.

Po kilkudniowym przesłuchiowaniu wtrącono mnie do więzienia Oszmianie, gdzie znalazłem się w brudnej i ciasnej celi wraz z innymi podobnymi przestępcami. Byli to przeważnie żołnierze służby czynnej, osadnicy, ochotnicy Wojska Polskiego, policjanci, dozorczy więzienni i ok. dziesięć procent Żydów, gorliwych patriotów sowieckich z jednej strony i biednych ofiar terroru polskich władz – jak powszechnie narzekali.

W celi było bardzo ciasno, było nas 66 osób, podczas gdy normalnie przebywało w niej do 15, jak to oświadczył nam naczelnik tego więzienia, który był naszym towarzyszem niedoli. Warunki higieniczne „pod psemy”: wszy, brud i zaduch od kubła z kałem, który był uprzątny raz dziennie. Gdy już brakło miejsca i nie można było pomieścić więźniów, aby mogli spać chociaż w pozycji siedzącej, wybrano nas w pewien mroźny poranek (35 stopni), załadowano na samochody ciężarowe, aby nikt ze znajomych nie mógł poznać, kogo w ogóle wiozą, i tak odtransportowano do więzienia w Wilejce powiatowej. Tam panowały podobne warunki, przybyły tylko bardziej wyrafinowane sposoby badań i tortur. Prania bielizny nie było, raz na dwa tygodnie albo rzadziej zimna dezynfekcja ubrań i [raz] na dwa miesiące także *bania*.

Po pięciu miesiącach ciągłych badań i poszukiwania rzekomo ukrytej broni itp. odtransportowano nas do Mołodeczna, uprzednio powiązawszy ręce i nogi przy przewożeniu do stacji kolejowej.

W Mołodecznie było jeszcze gorzej. Nie wyprowadzano nas za swoją potrzebą dwa razy dziennie, ale tylko raz. A gdy wyprowadzano, to dla emocji strzelano w górę. Tak przebyłem w tym więzieniu, które kiedyś służyło za mieszkanie dla jeńców bolszewickich w 1920 r., a którego to obozu byłem szefem. Zmiany były tylko te, że brak było prycz i porobiono podwójne ogrodzenie terenu z wysokimi parkanami. Ulubionym sposobem badań było bicie wężami gumowymi, zwanymi przez oprawców konstytucją polską, kilkudniowe karcery, wożenie na cmentarz i nad dołem wykopanym przez delikwenta, dalsze badanie.

Najwrażliwszym punktem było nazwisko Sikorski. Starano się znaleźć jak najwięcej osobników o podobnym nazwisku.

Pożywienie więzienne składało się z 600 g surowego chleba, litra zupy-wody na obiad i pół litra jałowej kaszy na kolację. Wody do umycia się i picia w ogóle nie dawano. Kontakt z rodzinami i bliskimi żadnego.

Po dwóch miesiącach stworzono transport i w czerwcu 1940 r. wywieziono nas na teren ZSRR do miasta Połocka. Tam przebywałem w dwóch więzieniach. Jedno z nich było urządzone w katolickim kościele i przylegającym do niego klasztorze. Różnica polegała na tym, że było tutaj jeszcze więcej wszy i pluskiew i, że budynki od czasu rządów carskich nie były odnawiane. Świadczyły o tym stare malowidła i brak kominów na dachach (były zupełnie rozwalone). Po dwumiesięcznej gościnie zaczęto formować transporty dla wywiezienia [nas] dalej w głąb Rosji.

I tak pewnego sierpniowego dnia na stacji kolejowej Orsza znalazło się nas cztery transporty, każdy po sto i więcej wagonów, w tym jeden transport z polskimi kobietami.

W wagonach było ciasno, po 50 i więcej osób. Jako pożywienie kawał chleba, nie więcej jak 400 g, kawałek śledzia i ćwierć litra wody. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy korytkiem, którego jeden koniec wystawał z wagonu. W wagonie smród, zaduch i ogólne pragnienie z braku wody. Po pięciu dniach postoju na dworcu osobowym ruszyliśmy dalej. Podróż trwała dwa tygodnie.

Przybyliśmy do miejscowości Kotłas. Było to miasto obozów. Coś ohydneho, kupa błota, mnóstwo przewiewnych, naprędce skleconych baraków, wysokich, podwójnych ogrodzeń, wysokich gołębników, a na nich strażników NKWD, przeważnie pochodzenia mongolskiego.

Na gołębniku (wieży strażniczej) umieszczone były karabiny maszynowe i reflektory, a tam, gdzie światła elektrycznego nie było, paliły się wokół obozów duże ogniska i biegały na drutach psy wilczury. Po kilku dniach załadowano nas na łodzie (berlinki) po 1000 [osób]. Płynęliśmy dziewięć dni. W drodze strażnicy oblewali nas z góry wodą za to przestępstwo, żeśmy się modlili. Zaczęła się dyzenteria. Codziennie łodzie-statki przybijały do brzegu i grzebaliśmy zmarłych współtowarzyszy niedoli. Na dziewiąty dzień przybyliśmy do miejscowości Ajkino. Tam sformowano olbrzymią kolumnę, ponad trzy tysiące osób, otoczono gęsto kordonem *specotriadu* NKWD z karabinami maszynowymi i psami i popędzono po grząskim błocie do obozu odległego [o] ok. 15 km. Wielu zemdłało i zostało na drodze. Po naszym przybyciu do olbrzymiego obozu pomieszano nas z jeńcami wojennymi i obywatelami sowieckimi różnych narodowości i przestępstw. Przeważali złodzieje i bandyci. Obóz składał się z wielu baraków bez ścian. Połowa nas spała na dworze z braku miejsc. Było już zimno, więc łamano ściany baraków i palono ogniska, aby ratować się od zimna. Wielu nie miało okryć wierzchnich. Dyzenteria zaczęła rozszerzać się w zastraszający sposób, tak że gdy po trzech dniach sformowano kolumnę do dalszego marszu, 40 proc. ogólnej liczby musiało pozostać jako ciężko chorzy. Po drodze na większych stacjach wyładowano dalej chorych, tak że gdy transport dotarł do miejsca przeznaczenia, przywieziono tylko 40 proc. skazańców. Ja wraz z wielu chorymi zostałem wyładowany na stacji Czybju, w pobliżu miejscowości Uchta. Umieszczono nas w tzw. *sangorodkie*. Nie różnił się on niczym od innych obozów. Te same prowizoryczne budowle, błoto, brud i wszy. W oczekiwaniu na miejsce w szpitalu przebyliśmy dwa miesiące pod namiotem. Aby darmo nie karmić raz dziennie obrzydliwą zupą, kazano nam, chorym, pracować przy rozładunku różnego sprzętu, usuwaniu pni, kopaniu mchu itp.

W grudniu 1940 r. dostałem się wreszcie do szpitala, tam jedynie człowiek zaznał trochę spokoju i spotkał przyzwoitych ludzi w osobie kobiet lekarzy Rosjanek i lekarzy z pochodzenia z Polaków. Większość chorych Polaków poumierała, gdyż byli tak wyczerpani, że żadna już pomoc lekarska nie przydała się. Trupy wywoził skazaniec asenizator, na tym samym wozie, co w dzień wywoził nieczystości. Nieboszczykowi umieszczano na ręce i nodze numer ołówkiem atramentowym. Ten numer umieszczony był na tabliczce nad mogiłą. Żadnych krzyży.

Po dwóch miesiącach zebrano nas, podkurowanych, większą liczbę i skierowano na roboty leśne. Była już zima. Śnieg dochodził do dwóch metrów wysokości. Praca była bardzo ciężka. Normy dziennej nie mogliśmy wykonać nawet w 20 proc., a co za tym idzie, tzw. *sztrafnoj pajok*,

tzn. 300 g chleba i raz dziennie zupa. Niewiele lepiej mieli ci, którzy wykonywali sto [procent] i więcej zadanych robót. Otrzymywali 1100 g chleba, do zupy dwa razy po pół litra kaszy i placek, który nazywano *bułoczką*. Po pracy każdy z nas wracał zziębnięty i przemoknięty. Czekał swej kolejki, aby móc się zbliżyć do pieca dla ogrzania się i wysuszenia ubrania.

Przyszło lato, zrobiło się sucho, męczyły komary, a było ich mnóstwo, tak że musieliśmy [pracować] w zasłonach na twarzy.

Rozrywki kulturalne. Przez cały czas pobytu wystawiono dwie sztuki o charakterze propagandowym. W obu tych sztukach przedstawiano bohaterski opór uciemiężonych Białorusinów przed „polskimi panami” w latach 1919–1920 i wyzwolenie przez Armię Czerwoną.

Rosjanie w większości odnosili się do nas albo z nieufnością, albo z pretensjami, że my, Polacy jesteśmy winni, że oni znajdują się w obozach. Zresztą byli to ludzie fałszywi. Narzekali na swoje rządy w rozmowach z nami, a wobec władz NKWD przesadnie podchlebiali i nie szczędzili pochwał. Straż obozowa do nas zwracała się arogancko, nazywając nas *polskie buntowszczyki*, *faszyści* itp. Lżono i wyśmiewano się z naszych władz. Szczególną nienawiść odczuwali do wodza Polski, gen. Sikorskiego. Wyśmiewano Anglię, nazywając ją prostytutką. Mówiono nam, abyśmy się wzięli do pracy, a nie łudzili uwolnieniem przez Anglię. Podczas jednej z takich dyskusji zostałem wraz z jednym z podchorążych osadzony w karcerze, a moim współtowarzyszom zapowiedziano, że będziemy tak długo przebywali w karcerze, aż wszyscy nie podniesiemy naszej wydajności do stu procent. Wygotowano przeciwko nam nowy akt oskarżenia i tylko ogłoszenie amnestii spowodowało, że tworząc polską kolumnę dla zwolnienia w jednym z obozów, zebrano nas z różnych obozów w Jossen [?]. Dzięki tej okoliczności udało mi się uniknąć przykrych następstw jako *buntowszczykowi*. Po przewiezieniu do stacji Jossen [?] i sformowaniu polskiego oddziału, zaczęto nas namawiać, abyśmy wstępowali do Robotniczo-Włściańskiej Armii, lub też zechcieli gdzieś pracować przed wstąpieniem do wojska.

Po ogłoszeniu amnestii straż nic się nie zmieniła w swoim zachowaniu względem nas. W dalszym ciągu zachowywała się okropnie, a norm żądała coraz więcej.

1 września 1941 r. wyjechałem obozu z myślą, aby dostać się do wojska polskiego. Po drodze rozpytywaliśmy, gdzie się nasza armia formuje, ale władze sowieckie nie umiały czy nie chciały nam powiedzieć. Dopiero w mieście Gorkij [Gorki] podano nam Buzułak [Buzułuk].

Wszyscy mieliśmy skierowanie do różnych *obłastiej* do pracy, lecz nie zważając na represje, jakie nas mogły czekać za samowolne skierowanie się do innych miejscowości, niż opiewały dokumenty, jechaliśmy aż dojechaliśmy do Tocka [Tockoje], gdzie szczęśliwie dostaliśmy się do swych oddziałów, a później wydostaliśmy poza tak gościnny kraj.

7 marca 1943 r.